



Pierwsze Jasełka św. Franciszka.

179

POCHODNIA SERAFICKA

ROK XII.

STYCZEŃ 1937.

NR. 1.

Treść Nr. 1

Zwiasztuję wam wosele wielkie. — Rozmowa. — Małgorzata von Lüschen. — Trzy drogi doskonałości. — Święta Rodzina. — O Aureolę Świętych dla Bł. Salomei. — Aby wszyscy byli jedno. — W łączności siła. —

K r o n i k a

Kongregacja III Zakonu w Jazowsku liczy 64 członków. Zebrania Tercjarskie odbywają się co miesiąc w każdą третią niedzielę w kościele, a w czwartą niedzielę w domu parafialnym. Ks. Dyrektor Dr Julian Piskorz stara się bardzo o rozwój duchowy naszej Kongregacji, głosząc nam nauki na temat życia wewnętrznego i zewnętrznego. Wyjątkowo uroczystości w bieżącym roku obchodzono u nas Uroczystość św. O. Franciszka. W czasie nowenny mieliśmy wystawione Relikwie św. O. Franciszka na ołtarzu w kaplicy Tercjarskiej; w dniu Uroczystości św. O. Franciszka cała Kongregacja przystąpiła do Komunii św., w tym też dniu urządzono uroczystą akademię ku czci św. O. Franciszka. Na akademii złożyły się: pieśni o św. Franciszku, deklamacje i referat p. t. „III Zakon a czasy obecne“. Po akademii odegrano piękną sztukę o św. Franciszku pt. II Poverello (biedaczek); na upamiętnienie tego przedstawienia dokonano zdjęcie fotograficzne. Prawie wszyscy tercjarze należą do A. K. i do różnych bractw kościelnych, niektórzy bracia i siostry są czołowymi członkami A. K.

W ostatnich czasach zmarli z naszej Kongregacji: 1 Brat i 4 Siostry: dusze ich polecamy miłosierdziu Bożemu i waszym modłom Bracia i Siostry III. Zakonu.

Pokój i dobro.

br. A. S. sekretarz.

Na kosztą Kanonizacji Bł. Salomei

Złożyli: Cziecielka Bł. Salomei z Brodnicy 5 zł., Muszyńska 50 gr., NN. 1 zł., Maria Kapcia 40 zł. W czasie nowenny w kościele św. Andrzeja zebrano 16 zł 6 gr., — Jadwiga Jaruzelska z Kalisza 3 zł.

Uprasza się, by opisy szczególnych łask otrzymanych za przyczyną bł. Salomei, nadsyłać do klasztoru SS. Klarysek przy kościele św. Andrzeja w Krakowie, Grodzka 54.

780789

POCHODNIA

ORGAN III ZAKONU I STOW.



SERAFIGKA

FRANCISZK KRUCJATY MISYJNEJ

Rok XII.

Styczeń 1937 r.

Nr. 1



Biblioteka Jagiellońska



1002518954

Z okazji świąt

BOŻEGO NARODZENIA i NOWEGO ROKU

przesyła Redakcja Pochodni Serafickiej wszystkim Czytelnikom oraz wszystkim Człocielom św. O. Franciszka jaknajserdeczniejsze życzenia. Pokój i Dobro niech będzie wszystkim udziałem.



2206

1

+ 12 (1937)

Zwiastuję wam wesele wielkie...

Pan Stanisław w wigilię Bożego Narodzenia bywał zazwyczaj jak najgorzej usposobiony.

Wielka akcja sanitarna i żywnościowa prowadzona od kilku dni przez jego małżonkę, a wywracająca wszystko w mieszkaniu do góry nogami, zatruwała mu życie i doprowadzała wprost do „szewskiej pasji”.

Nie mógł pojąć dlaczego przed zrobieniem „wielkich porządków” musi się najpierw robić wielkie nieporządki? Jego męska logika mówiła, że prościej byłoby zaniechać obu tych czynności jako neutralizujących się wzajemnie; jego zaś gruntowna pobożność i tercjarskie wyrobienie duchowe oburzały się na ten osobliwy sposób święcenia Narodzin Pańskich objadaniem się na wieczerzę siedmiu potrawami.

Głęboki i poważny nastrój, którym pragnął się przejąć, by przygotować duszę na Mszę Pastorską i na Komunię św. nie dał się utrzymać wśród tego rwetesu, bieganiny. Trudno rozmyślać o rzeczach poważnych, gdy nozdrza łechce płynący z kuchni zmieszany zapach smażonego masła, grzybków, kiszzonej kapusty, a o uszy obijają się piski i śmiechy malców strojących choinkę.

Zgryziony i podrażniony chodził nerwowym krokiem po sypialni niechętnie spoglądając, jak obok w drugim pokoju żona nakrywała stół do wieczerzy wigilijnej.

Obok matki uwijały się jak barwne łątki, dwie małe córeczki, niby pomagając, a właściwie przeszkadzając.

— Co to, mamusiu? Oplátky?... O, tu na opasce Jezusek malutki! Mamol! Daj, ja Go pocałuję.

Różowe usteczka wyciągają się w rozkoszny, długi ryjek i z głośnym cmoknięciem całują w powietrzu oplátek.

— Mamo! Ja też! Ja też!

Drugie cmoknięcie i gama srebrzystego śmiechu dziewczęcego najczystszymi tonami doskonałej radości.

Pan Stanisław stanął jakby olśniony.

Kto właściwie lepiej wnika w ducha tego wielkiego Święta, kto je lepiej czci? — czy on swą surową, zgryźliwą pobożnością, czy te dzieci radujące się każdym fibrem swej istoty.

...Oto zwiastuję wam wesele wielkie — mówił Anioł do pasterzy.

...Pokój ludziom dobrej woli — śpiewały chóry wojska niebieskiego.

Gdzież u mnie to wesele, ten pokój?

Nie cieszę się z narodzin Zbawiciela, bo nie mogę dnia tego obchodzić według mego upodobania, bo razi mnie zbyt prymitywna, pospolita radość mego otoczenia.

A więc: ja — moje upodobanie — moja przyjemność.

A więc miłość własna, nie miłość Boża, a więc samolubstwo, szukanie siebie nawet w pobożności.

Pan Stanisław zbyt szczerze dążył do Boga, by ten błyskawiczny rachunek sumienia nie zmienił natychmiast jego orientacji duchowej.

Energicznym ruchem strząsnął ze siebie purytańską togę surowej, pobożności i z dobrym uśmiechem włączył się jak czujące ogniwo w kółko rodzinne, przez które przebiegał mocny a słodki prąd czystej religijnej radości.

Poczuł się odrazu dobrze.

— Tatusiu! Nie mogę powiesić tej gwiazdy tam wysoko. A ona musi być na samym czubku choinki.

I tatuś skrabał się po kszesłach wieszając prze-różne gwiazdy, łańcuchy, orzeszki złożone, zachwycał się szopką ustawioną pod choinką, chwalił przy stole zalety grzybowej zupy i klusek z makiem i śpiewał aż do ochrypnięcia „Na kopie siana...” i „Jam jest dudka...”

Wszystko to nie przeszkodziło mu bynajmniej do skupienia na Pasterce, owszem czuł się bliżej Boga niż kiedykolwiek.

Jeśli się nie staniecie jako dziatki, nie wnikniecie w tajemnicę Boga, który oto stał się ludzkim dziecięciem“.

R o z m o w a

— Mamusiu! Dlaczego na Boże Narodzenie dzielią się ludzie opłatkiem?

— To znak miłości, ponieważ w tym dniu narodził się Pan Jezus, który nakazał nam, abyśmy się wzajemnie miłowali.

— A jakże to rozłamanie takiej nieraz malusieńkiej odrobiny opłatka ma oznaczać miłość?

— Widzisz, chcemy przez to wyrazić, że gotowi jesteśmy podzielić się wszystkim z naszymi braćmi. Choćbyśmy sami mieli bardzo mało, ostatni kawałeczek chleba rozłamiemy, aby nakarmić głodnego, który do nas przychodzi.

— A czy my będziemy na wigilię łać się opłatkiem?

— Będziemy.

— A to potem będę musiał się podzielić z Janką każdą czekoladką, którą dostanę?

— Pewnie! Przecież jesteś katolik, wierzysz w P. Jezusa.

— Ale jak ona będzie co miała dobrego, to też się ze mną podzieli?

— Też!

— Mamusiu! A czy żydzi dzielią się opłatkiem?

— Nie! Oni nie uznają ani nauki Chrystusowej, ani Chrystusowej miłości.

...Proszę pani! Bo przyszła ta wdowa po stolarzu z oficyny i bardzo prosi o jakie wsparcie.

— Znowu! Ach, mój Boże! przecież dopiero była przed paru dniami. Czy ona myśli, że nam wszystko samo z nieba kapie!

Niech jej Kasia da te półbochenka chleba, które zostało od wczoraj, ale niech jej Kasia powie, żeby nas tak często nie nachodziła.

— Mamusiu! Czy ty jesteś żydówka?

— ?!...

— Bo przecież masz w szafie strudelki i placki i nie podzielisz się z tą kobietą?

E. L.

Małgorzata von Lüschen

Tercjarka zakonu św. Franciszka Serafickiego.

Na początku 17 wieku żyła w zamku Stockert w Wirtembergu bogata rodzina barona von Lüschen, ciesząca się wielkimi względami panującego monarchy. Członkowie tej rodziny, zagorzali protestanci, brali zwykle udział we wszystkich uroczystościach dworskich i obojętni zupełnie o losy duszy, starali się tylko o to, co świat szczęściem zowie.

Zupełnie odmienną od całej rodziny, od krewnych i znajomych była młoda baronówna: Małgorzata. Wychowana w środowisku protestanckim, zmuszona żyć z ludźmi lekkich obyczajów, podobna była do lilii o śnieżno-białym kielichu, do owieczki otoczonej stadem drapieżnych wilków, do gwiazdy jaśniejącej wśród ciemnej nocy na niebios sklepieniu.

Przekonań religijnych rodziców i całego otoczenia wcale nie podzielała, tylko całym sercem skłaniała się do katolicyzmu. Chociaż troskliwie czuwano nad tym, by nie miała żadnej styczności z katolikami, Małgorzacie udało się jednak w największej tajemnicy, zdobyć książki pouczające o religii Chrystusowej i z nich poznała wzniosłość, prawdziwość i piękność naszej świętej wiary.

Miłość ku Przenajświętszemu Sakramentowi i nabożeństwo do Matki Najśw. gorącym płomieniem rozgorzały w jej sercu. Często, gdy wśród uczt, widowisk lub igrzysk, towarzystwo, w jakim Małgorzata musiała się znajdować, bawiło się wesoło — ona biegła myślą do katolickich kościołów i gorącym sercem adorowała Boskiego Więźnia miłości.

Rodzice planowali dla niej najświetniejsze związki — a uroda córki, jej bogactwo, mądrość i szlachetny charakter, były niejako rękojmią, że nadzieje ich wkrótce się spełnią.

Małgorzata tymczasem jedno tylko miała pragnienie, będące najskrytszą tajemnicą jej duszy: opuścić dom rodzicielski, wzgardzić bogactwem i ziemskim szczęściem, by gdzieś daleko, w cichym ustroniu, na łonie Kościoła św. katolickiego, służyć wiernie P. Bogu i łączyć się ze Zbawcą świata przez Komunię św.

Oczekując sposobnej chwili do ucieczki, miała przygotowaną szkatułkę z klejnotami, duży szal do okrycia i mocny sznur, po którym mogłaby się spuścić z piętra na dół, gdyby tego zaszła potrzeba.

I Pan Bóg dopomógł Małgorzacie do spełnienia świętego zamiaru nawet wcześniej, niż się spodziewała.

Baron von Lüschen, chcąc się poszczycić przed wielkim zebraniem gości swą piękną córką, urządził w zamku wspaniały bal, na który zaprosił cały kwiat protestanckiej młodzieży.

Huczna muzyka, suto zastawione stoły, podniecały coraz więcej wesołość rozbawionych gości, dowcipy i żarty zaczęły przekraczać granicę dobrego tonu, aż wreszcie ktoś zgasił nagle światła.

Powstało zamieszanie; jedni wołali, aby czym prędzej zaświecić inni pragnęli dla urozmaicenia bawić się dalej w ciemności.

Małgorzata uważała ten ogólny zamęt za znak dany

jej z nieba — wymknęła się spiesźnie z sali balowej, niespostrzeżona przez nikogo przeszła kilka pustych komnat, zarzuciła na bogaty i piękny strój duży szal, zabrała przygotowane klejnoty i po sznurze spuściła się oknem do ogrodu. Ciemna, ponura noc ułatwiła jej ucieczkę. Biegła szybko i dopiero za miastem w jednym domku przebrała się w proste suknie, hojnie opłacone.

Chociaż ubogie ubranie uczyniło ją trudną do poznania, nie zatrzymała się dla odpoczynku aż dopiero za granicą Niemiec w Antwerpii.

Stąd udała się do SS. Benedyktynek w Einfeld, zamieszkała jakiś czas w ich klasztorze — wyuczyła się tutaj dokładniej zasad wiary św. i przeszła na łono Kościoła katolickiego.

Szczęście, jakie odczuła, gdy najgorętsze pragnienie jej serca zostało spełnione, nie da się opisać.

Wkrótce przyjętą też została do III Zakonu pokutujących, a chcąc w całej pełni kosztować ubóstwa, w którym się rozmiłowała za przykładem św. O. Franciszka, udała się o żebrany chleb, jako pątniczka do Luksemburga. Tutaj prosiła pokornie Siostry Klaryski z klasztoru Przenajświętszego Ducha, by jej pozwoliły zamieszkać przy swej kaplicy, gdyż pragnie prowadzić życie pustelnicze, jak św. Koleta z Korbei.

Wybudowano więc dla niej celkę tuż przy kaplicy, w której żyła 28 lat o chlebie i wodzie, błagając Pana Boga o nawrócenie grzeszników, szczególnie zaś polecała miłosierdziu Bożemu heretyków i odszczepieńców.

P. Bóg wsławił ją cudami tak za życia, jak i po śmierci, która nastąpiła 1651 r. Zaraz w dzień zgonu przeniesiono jej zwłoki do kościoła Rekolektantów, gdzie leży pod ołtarzem Matki Najśw. Niepokalanej.

Grób jej wskazuje płyta z napisem: „Tu spoczywają zwłoki bardzo cnotliwej dziewicy, tak zwanej Siostry Małgorzaty, która pochodząc ze znakomitego

ale protestanckiego rodu, opuściła tajemnie dom rodzicielski i zamieszkała w Luksemburgu, aby tu wyznawać wiarę katolicką. Przyjąwszy habit Trzeciej Reguły św. O. Franciszka, żyła w zamknięciu przez 28 lat w nadzwyczajnych pokutach i umarła w opinii świętobliwości“.* R. I. P.

Esha.

Trzy drogi doskonałości

Droga oczyszczająca *O zmysłowości ciąg dalszy.*

Duszy się spieszy, chciałaby iść dalej, by stracić z oczu cuchnące bagno, by posiąść prędej ziemię obiecaną, za którą wzdycha, a tu iść jej nie dają — Rozmyślanie woła:

Stój! Przed tobą oto wróg największy, więc poznać go lepiej trzeba, obrzydzić, rozbrat z nim wziąć. Stanęła.

A rozmyślanie, co tak dobrze zna dzieje ludzkości, znów prawi swoje. Chce Duszy i nam wszystkim powiedzieć to jeszcze, że zmysłowość groźniejszą jest i silniejszą od wszystkiego na świecie. Sam jakby Stwórca nie zna na nią hamulca, bo zesłał mnogie wody, zalał ziemię od krańca do krańca — potopili się ludzie prócz rodziny Noego, a zmysłowość ocalała. Spuścił z nieba siarczasty ogień, spłonęły miasta wraz z mieszkańcami, a zmysłowość wyszła nietknięta, by nadal walczyć z Bogiem i cnotą. Dopuścił straszne wojny, głód, zarazę, trzęsienia ziemi, ale i tych okropności nie uległa się zmysłowość. Z podniesioną głową, z zarzewiem w dłoni szła i szła od miasta do miasta, od wioski do wioski, od chaty do chaty, od duszy do duszy. A idzie dotąd coraz zuchwalsza, zdziczała, niezwyciężona. Już się nie słoni

* Annales franciscaines, 1909.

mgłą nocy, chodzi jawnie wśród blasku dnia. Pociąga za sobą tłumy, nie oszczędza i dzieci. Ona to każe ludziom wyprzeć się Boga, by nie krępował ich swymi przykazaniami. Każe łżyć, mordować i gładzić w przeróżny sposób księży, zakonników i zakonnice, by nie byli wyrzutem sumienia dla zwyrodniałej ludzkości.

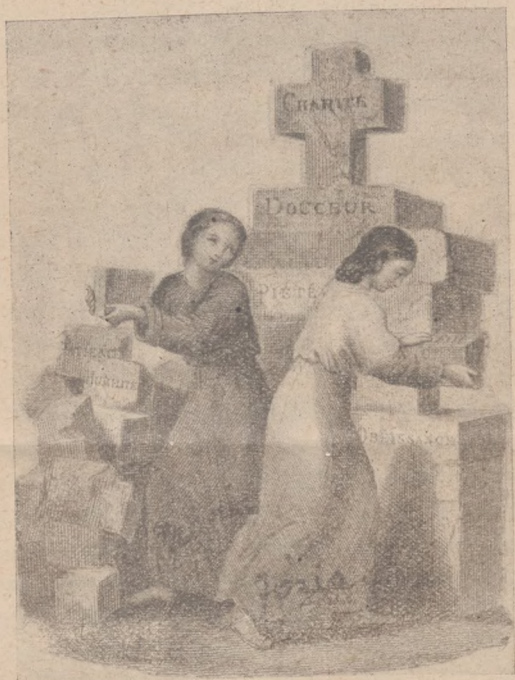
Taką jest zmysłowość. Posługuje się ona wszystkim, co w człowieku jest, a więc: wzrokiem, słuchem, językiem, smakiem, czuciem, sercem, wyobraźnią, pamięcią, rozumem, nawet i wolą. Chcecie się o tym przekonać? Oto przykłady, przyobiecane obrazki z życia. Nie myślcie, że zmyśłone, bo prawdziwe, najprawdziwsze.

Obrazek pierwszy. Zobaczymy na nim, jak to zmysłowość posługuje się wzrokiem, jak za pomocą tego zmysłu jednych zwycięża, uwodzi, a drugich jeszcze silniejszymi czyni.

Dwie dorastające panienki mieszczańskich rodzin, Józia N. i Frania H. od kilku już lat żyją jak anioły, na które z podziwem spoglądają ludzie. Ks. Proboszcz cieszy się nimi, nazywa je chlubą, światłością całej parafii. Błogo mu, gdy widzi je klęczące nieruchomie w kościele, a rozgląda się smutnie, gdy czasem ich zabraknie. Drży on jak ojciec o swe dzieci duchowe, by z czasem nie spuściły skrzydełek. Ale Józia i Frania nie mogą być codzien na Mszy św., bo pracy mają dużo — i to ciężkiej — każda w swoim domu. Frania jest silniejsza, więc robota odchodzi jej szybko jak na maszynie. Józia słabowita, męczy się prędko, ale za to jest bardziej wyrobiona duchowo. Są to jakby Maria i Marta, które wspomagają się wzajemnie.

Prawie każdego dnia, nawet kilka razy na dzień biegnie chyłkiem jedna do drugiej na pogadankę duchową. Tyle, tyle mają sobie do powiedzenia. To myśli święte, jakie przychodzą im do głowy, to pragnienia,

jakie do serca się cisną, to przygody dnia, życia itd., itd... Młode to jeszcze dziewczątka, ale pragnienia mają wielkie, niedościgłe. Wspólnymi siłami chcą zbudować gmach doskonałości, więc nie mogą dosyć nagadać się o tym, jakby to wielkie dzieło doprowadzić do skutku.



— Wiesz, Franiu — powiada Józia — ja chciałabym żyć zawsze tak, aby nie popełnić najmniejszego grzechu.

— O, ja tak samo — woła Frania.

— Ja, gdyby nie praca, co tyle jej mam, odwiedzałabym P. Jezusa co godzinę, bo On taki samotny, a przecież to z miłości ku nam przebywa w kościele.

— Wiesz, Józiu, ja bym to samo czyniła, ale nie umiem tak przemawiać do P. Jezusa jak ty.

— O moja Franeczko! P. Jezusowi nie trzeba słów wiele, bo On wie wszystko, Jego potrzeba tylko kochać i kochać bez końca.

— No dobrze, gdy masz tę miłość w sercu, ale moje serce zimne i twarde jak kamień, a sama nie wiem dlaczego.

— Bo może za mało się umartwiasz, może mówisz za dużo, a może dokuczasz komu? Gorąca miłość spływa do serca wtedy, gdy sobie odmawiamy różnych przyjemności, nawet dozwolonych, gdy o ile można zachowujemy milczenie, gdy nie robimy nikomu przykrości. Opowiem ci, co czytałam w książce o pustelnikach.

— Ach, ty tylko o pustelnikach!

— Słuchaj!

— Jeden młody pustelnik chory był na żołądek i nie mógł pościć. Przełożony nakazał mu, aby jadł rano śniadanie, czego innym, zdrowym mnichom nie było wolno. Posilali się bowiem tylko raz na dzień przed czy po zachodzie słońca.

Razu jednego o 9-tej godz. rano, gdy ów pustelnik zjadał sobie na progu swej chatki jakąś jarzynkę, nadszedł na to drugi, też młody lecz zdrowy i świętobliwy mnich. Miał on podobno objawienia, P. Jezus z nim rozmawiał, Anioł Stróż itp.. Opływał w tak wielkie pociechy duchowe, aż mu inni zazdrościli. Stał on obok chatki chorego brata i z przerażeniem zawołał:

— Bracie! Czy Boga się nie boisz, że o tej godzinie jesz, zamiast się modlić? Przecież to grzech! Żaden z nas tego nie czyni, wszyscy pościmy aż do wieczora.

Choremu, upokorzonemu braciszskowi, odrazu wypadła miseczka z ręki, przestał jeść i gorzko zapłakał. A ten, myśląc że wielką przysługę uczynił Bogu, odszedł sobie spokojnie do modlitwy. Zauważył jednak, że ta modlitwa mu nie szła. Stwardniał jak kamień, za-

marzył na lód — pociechy duchowne gdzieś uleciały. Czeka dzień jeden, drugi, trzeci, ale niebo milczy, serce nie topnieje, żaden brzask nie świta.

— Panie! Gdzie jesteś? I czemuś mnie opuścił? Cóż uczyniłem złego, że gniewasz się na mnie?

I ozwał się Jezus:

— Synu, zraniłeś źrenicę oka mego.

— Czym, Panie i kiedy?

— Przypomnij sobie brata chorego, jego upokorzenie i łzy.

Zdumiał się pustelnik.

— Czyż tą drobnostką obraziłem Cię, Panie? Czyż nie okazałem się raczej gorliwym o chwałę Twoją, o dobro brata mego?

— Synu! Coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili.

Zrozumiał. Zerwał się z kolan, biegł do brata chorego, do nóg mu upadł, przeprosił. A światłość Boża natychmiast zalała mu duszę, wrócił ogień, pociecha i spokój.

Tak i podobnie rozprawiają dziewczątka z sobą, dopóki nie nadejdą mamusie, nie zganią ich pokątnej rozmowy i nie wypędzą do pracy. Uciekają wtedy ci-chutko, nie płacząc, nie narzekając. Wiedzą, że „Nieprzyjaciółmi człowieka, domownicy jego“. W domu ka-żą im tylko robić, a o sprawach duszy ani pomyśleć. A gdyby tak szły na niedobre schadzki, to możeby mamusie mileżały i były zadowolone. Ale Józia i Frania nie chodzą ani do teatru, ani na zabawy, ani na hała-śliwe spacer. Mają swoje drogi, lecz ciche i bezpie-czne. Ludzie dokuczają im za to, prześladują je, mówią, że oszalały. Frania ma nieraz ochotę zapłacić „pięknym za nadobne“, ale Józia wstrzymuje ją słowami P. Jezusa:

„Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie“.

Ta Józia, to dziwna dziewczyna. Twarda jak skała, o którą obijają się wszelkie pociski ludzkie. Przy niej i Frania czuje się mocna.

I żyły tak sobie przez kilka najpiękniejszych, bo wiośnianych lat.

Ale słuchajcie!

Jednego wieczora stało się nieszczęście. Józia i Frania dały się namówić przez niedobre kuzynki i poszły do kina. Frania z pewną ciekawością, Józia bardzo niechętnie. Aż dziw, że przyszła na nią taka słabość, taka nieodporność. Przecież mogła odmówić, jak to już tyle razy czyniła, ale nie, poszła. Poszły obydwie.

Już przyszły na miejsce, zajęły swoje krzesła, siedzą i patrzą...

Serce Józii tłucze się od strachu, od wyrzutów sumienia. Co też ona zrobiła. Boże! Boże! Usiłuje patrzeć, ale daremnie. Powieki same jej opadają, bo widoki przed nią przerażające. Raz blednie, raz się rumieni od wstydu. „Czy w piekle jestem?” myśli sobie. Aby się ratować wyjęła koronkę z torebki i przesuwa nerwowo paciorki w palcach. O wyjściu z sali nie było mowy. Kuzynki zauważyły jej zaniepokojenie, namawiały, aby patrzyła, lecz nadaremnie. Józia nie tylko oczy, ale i głowę spuściła, a duże łzy potoczyły się po jej zarumienionych policzkach i spadły na piękną, jasną sukienkę...

— A Frania?

— I ona z początku odczuwała wyrzuty sumienia, ale potem oswoiła się i spoglądała na wszystko z całą swobodą, a nawet z przyjemnością.

— Dlaczego jedna tak, druga inaczej?

— Pan Bóg raczy wiedzieć. Któż z ludzi dostał się kiedy na dno serca człowieczego, by zbadać, co mieści się w jego głębinach?

Józia i Frania wyszły nareszcie z kina. Opuszczone

przez niedobre kuzynki, wracały same do domu. Towarzyszyła im jeno ta ciemność nocna otulona ciszą.

Przejmująca nocna cisza!

Pod jej osłoną jęczały spokojne do niedawna sumienia. Oj jęczały! Frania jak Frania, ale Józi dygotało od bólu i żalu serce. Wstydziła się okrutnie tych gwiazdek złotych, co nad nią w górze jaśniały. Zdawało jej się, że to oczy zagniewanego Boga i Matki Najśw. tak na jej nędzę spoglądają.

Wolnym krokiem szły smutne, ale nie nie mówiły — one, co zawsze tyle miały sobie do opowiadania. Wstyd jednej przed drugą zamykał im usta. Idąc tak milczkiem, zbliżyły się ku własnym chatom. Na pożegnanie podały sobie chłodno ręce i znikły w cieniu późnego wieczoru.

W domu już spali.

Mamusia posłyszała kroki wracającej z kina Józi, tylko tym razem nie gniewała się wcale.

— Zjedz kolację i połóż się spać.

Józia nie zjadła. Nie czuła głodu, jeno niesmak w duszy i przeokrutną gorycz.

— Boże! Boże! Co ja zrobiłam!

Szeptając tak niespokojnie, położyła się do łóżka. Wtuliła głowę do poduszki i nakryła się kołdrą, aby nie widzieć przypominających się obrazów z kina. Ale nie tak to łatwo zasłonić się przed tym, co raz przez oczy do pamięci i wyobraźni się wślizgnęło. Wprawdzie nie wiele Józia widziała, lecz Pan Jezus strofował ją i za to. Dziewczę płakało i płakało do samego rana.

— Przebacz mi, Jezu, już tego więcej nie zrobię. Jezu, przebacz mi, zapomnij!

Ledwo świt zerwała się Józia z pościeli i pobiegła do kościoła. Prosto do konfesjonału. Ze szlochem wyznała księdzu winę wczorajszą, że dała namówić się do kina, gdzie takie ohydne obrazy pokazują ludziom.

Ksiądz Proboszcz pożałował jej bardzo i przykazał, by więcej tam nie szła.

Oj nie! nie! Za żadne skarby świata. Choćby Anioł z nieba namawiał mię do tego.

I rzeczywiście, odtąd Józia stała się twardszą od skały.

— A Frania?

— Biedna ona! Ten sam proces zupełnie inaczej rozegrał się w jej duszy. Frania przegrała, a świat wygrał. Od tego dnia i wieczora między nią a Józią nie przyszło już do porozumienia. Serdeczna przyjaźń na strzępy się stargała. Czyż nawet mogło być inaczej? Józia pozostała nadal Aniołem, a Frania zrzuciła białe skrzydła i poszła na szerokie drogi świata, by zażywać zasmakowanych w kinie przyjemności zmysłowych.

Kościół tak często dawniej nawiedzany, stał się teraz dla biednej dziewczyny przeraźliwie pusty. Jakby zdmuchnięte, pogasły wszystkie światła i pociechy duchowne. Słodkie Tabernakulum i ołtarz Niepokalanej stały się jeno gorzkim wyrzutem sumienia. Toteż Frania uciekała coraz dalej i dalej od Jezusa i od Jego Matki.

Biedna! Okrutnie biedna!

A zmysłowość złowioną ofiarę gnała i gnała na zatrute drogi świata, aż ku przepaściom, ku bagnom...

Mamusia rada z tej przemiany chwaliła Franię, że nareszcie przejrzała i odczepiła się od tej niemądrej dewotki Józi. Zapłakała dopiero wtedy, gdy już było zapóźno...

Po pewnym czasie dwa Anioły znikły zupełnie z parafii. Jeden obrzydził sobie brudy ziemi i uleciał za furtę klasztorną. Drugi połamał skrzydła i spadł między szalejący tłum, by szaleć razem z innymi i używać świata, póki służą lata.

Oto zmysłowość przedstawiona na prawdziwym obrazku z życia, oto jej mocne sidła. Innym razem zobaczymy ją odmalowaną inaczej.

S. Gł.

Święta Rodzina

Stary, naiwny obraz przybrany w srebrne sukienki. Z pod ciężkiej błyszczącej blachy ledwie widać słodkie liczko Marii, Dzieciątko dusi się w sztywnej metalowej kryzie, aż św. Józef, sam uginający się pod ciężarem swej kosztownej szaty, z niespokojną troską spogląda na Jezuska.

Nie poradzi nic. Sukienka mocno przybita gwoździami. Nie umkniesz nam, Panie Jezu! Będziesz tu stał w jasnej glorii między Matuchną Cudowną, a św. Józefem Patronem, za tym rzędem świec ogromnych, co dla chwały Twojej płoną, a my tu przychodzić do Ciebie będziemy wedle trosk naszych i potrzeb.

Stoi Jezusek, bo trzyma Go za rączkę z jednej strony Maria, a z drugiej Józef św., bo grodzi Mu drogę ten złoty płot świec woskowych, ale nie w smak Mu te wspaniałości, oj nie!

Radby zrzucił te srebrne szatki i w swej ubogiej koszulinie z Matuchną Przenajświętszą i Opiekunem we świat poszedł — nie do Betleem, nie do Nazaret, ale do naszych domów, aby każdy z nich stał się chrześcijańskim domem, a każda rodzina — Świętą Rodziną.

Cichy pokój sypialny, łóżeczko z siatką, nad nim obraz Częstochowskiej Paniienki.

Matka krzyż kreśli nad poduszczką syna: Śpij z Bogiem, Heniu! Niech Anioł Stróż czuwa nad tobą. Pocałuj medaliczek i powiedz Dzieciątku Jezus: dobranoc.

— Ale mamusia jeszcze przy mnie zostanie?

— Zostanę, syneczku.

Usiadła niedaleko z robotą pod zielonym abażurem lampy. Pilnie szyje, ale myśli jej jak pszczołki stale krążą wokół główeczki syna.

Marzy o jego przyszłości?

Nie! Nie marzy ale myśli. Wie, że Bóg jej dziecięciu drogę życia zakreślił i zadanie do spełnienia wyznaczył. Sam tylko Stwórca ma do tego prawo — Ona, choć matka nie może kształtować jego przyszłości według swego widzimisie. Pragnie wniknąć w myśl Bożą, w zamiary Boże względem jej syna, aby stać się uległym a czującym narzędziem w rękach Bożych.

Wie, że dziecko nie jest jej dane ani dla zabawy, ani dla korzyści, ani dla asekuracji na starość — Bóg je „udziałał dla Siebie“, a jej zlecił tylko opiekę nad własnością Swoją. Co ma robić?

Oto najpierw stworzyć czystą, zdrową atmosferę domu rodzinnego — przepromienioną słońcem Łaski — tym słońcem, które zabija wszelkie zarazki grzechu.

Od pierwszego dnia swego pożycia małżeńskiego starała się o to, starali się oboje, ale gdy wśród białych ścian ich domu poczęły rozbrzmiewać głosiki dziecinne, troska o ducha Bożego w rodzinie stała się najpierwszą i najważniejszą — szła nawet przed troską o chleb powszedni.

Wszak mówi Apostoł: W Bogu żyjemy, ruszamy się, jesteśmy... Trzeba, żeby dziecko żyło w Bogu, zanim jeszcze czuć i myśleć jest zdolne.

Spojrzała ku łóżeczku — Henryś spał.

Na zegarze wybiła dziesiąta, czas już i starszym dzieciom do spania.

Przeszła do drugiego pokoju, gdzie rześka trójka rodzeństwa obsiadła stół pod jasną lampą.

— Lekcje odrobione?

— Oho! już dawno...

— No, to poczytamy sobie coś przed spaniem, a potem pacierz i do łóżka.

Matka sięga do domowej biblioteczki, gdzie obok Ewangelii stoją małe tomiki Skargowskich Żywotów

Świętych. Każdego wieczora czyta swym dzieciom o tych bohaterach cnoty, aby ostatnie wrażenia przed snem były czyste i podniosłe, aby pozostały w umyśle przez całą noc wyciskając swe piętno na młodych, wrażliwych duszykach.

A teraz wspólny pacierz całej rodziny i do spania.

Henryś w swym małym łóżeczku z siatką śni cudny sen. Widzi, że mały Jezusek ze starego obrazu w kościele wysunął swą rączkę z dłoni Matuchny Przenajświętszej, prześliznął się między świecami i bosy, w swojej sztywnej, srebrnej sukience wybiegł z kościoła.

Na ulicy ciemno — zimno — Jezusek zabłądzi...

Nie... nie... zapukał do nich — mama otwiera drzwi, bierze Dzieciątko za rączkę, tatuś z drugiej strony... idą... mamusia ma taką ładną, niebieską suknię i gwiazdy koło głowy, a tatusia laska taka duża urosła i kwiat z niej wykwitnął.

Henryś to gdzieś widział — aha! to było w kościele — mama mówiła: Widzisz, synusiu, to jest Święta Rodzina. Henryś uśmiecha się, że już teraz Święta Rodzina nie jest w kościele, lecz u nich w domu. *E. L.*

O Aureolę Świętych dla Bł. Salomei

Słońce wypłynęło już ponad wieżycę smreków i szybko wspinało się w górę po spiętrzonych obłokach; coraz wyżej, coraz wyżej ku zenitowi.

Od grotty Łokietkowej, szliśmy wycieczką lasami Ojcowa w kierunku Grodziska do pustelni „Świętej Matki naszej“, bł. Salomei.

Ścieżka przedzierała się przez gęstwinę i spadała wdół łożyskiem krętego parowu ku Prądnikowi.

Postępowaliśmy gęsiego w milczeniu, jeno górą szumiał, wrzał, kłębił się i burzył las, strzelający

w niebo kolumnami świerków, a dołem pod stopami chrzęściło igliwie i chrupał nadeptany chrust. Ciężkie, zwisające gałęzie smreków, potracone ruchem przechodzących, biły po twarzy włochatymi, kolącymi łapami.

Wreszcie dobrnęliśmy do gościńca, białego od kurzu rozpalonego słońcem. Po dłuższym marszu stanęliśmy na grzbiecie wydłużonego, wysokiego wału, u końca którego na najwyższej skale, ostro, prawie że prostopadle spadającej ku rzeczulce wznosi się kościółek i pustelnia bł. Salomei — cel naszej wycieczki.

Sama pustelnia jest to mała chałupka uczepiona stromej skały tuż nad dzikim urwiskiem. Składa się z przedsionka i kapliczki, wyobrażającej celkę klasztorną. Wewnątrz ołtarzyk z obrazem bł. Salomei, w kącie kamienne łoże, w ścianie wgłębienie, widocznie na książki.

Wszystko tchnie ubóstwem, ciasnotą, opuszczeniem i ciszą. Lecz powoli, w miarę zadumania, z tej cichej pustki zaczynają wyłaniać się najpierw szelesty, potem niezrozumiałe szepty, wreszcie cicheńka ale wyraźna mowa. To zaklęta w smętnej pustce przeszłość przemawia tysiącem zatajonych opowieści. — Zaczyna się opowiadanie:

...W podobnej celce, tylko w daleko uboższej i surowszej, umierała na tym miejscu, na twardym łożu wykutym w skale blisko 700 lat temu (1268) królowna polska — królowa Rusi, Dalmacji, Kroacji i Sławonii — bł. Salomea.

Śmierć swoją zapowiedziała naprzód na 10 listopada. Siostry, przywykłe do proroczych przepowiedni swej Matki, przekonane o jej świętości, zgromadziły się trwożne w oznaczonym dniu u jej łoża.

Żyła jeszcze ale pośpieszny, świszczący oddech, ceglaste, kwitnące wypieki na wyniszczzonej, lecz jakże pięknej tą pięknnością nieziemską twarzy, i nieruchome

oczy, zaszkłone już mgłą konania — świadczyły o zbliżającym się końcu.

Wobec tej bolesnej pewności, że ukochana Matka na zawsze odchodzi z tej ziemi, siostry ukłękły i tłumiąc łkanie, szeptały modlitwy za konających, całowały poraz ostatni czcigodne, kostniejące już ręce swej Matki, wpatrywały się z miłością i uwielbieniem w jej natchnione, jaśniejące oblicze.

Wtem twarz konającej drgnęła bolesnym skurczem — Obudził ją płacz córek. Spojrzała na nie przeciągle, miłośnie. Tak, kochała je wszystkie, jak matka najlepsza, były jej dziećmi.

— „Nie płaczcie, umrę cichutko, ale od was nie odejdę, nie opuszczę was, będę wam i waszym następcom matką na wieki“.

Więcej nie mówiła, bo i cóż nad to mogła powiedzieć? — Testament napisała, byt im zapewniła, a przez swe święte i heroiczne życie zakreśliła im tak prostą, jasną i świetlaną drogę wzwyż, że po wszystkie czasy będzie dla nich najpewniejszym szlakiem, wiodącym na wyżyny doskonałości. Zresztą sama jej śmierć posiadała swą wymowę, była i jest niezastąpioną szkołą życia dla klaryski wszystkich czasów.

— Córka królów i królowa umiera w dusznej, wilgotnej jaskini, na twardym głazie skalnym, w ubóstwie największym, w pokucie najsroźszej. Ogołocena ze wszystkiego, tak że dookoła nie ma już nic, coby mogło ją wiązać z ziemią, nic czego mogłaby żałować.

I żeby chociaż była to zasłużona pokuta za swawole i grzechy młodości.

Ale gdzież tam, przecież całe jej życie, od zarania dzieciństwa do ostatniego tchu, było jedną wielką ofiarą, jednym ołtarzem całopalnym, jedną nieustanną a odważną i nieubłaganą walką o wyzwolenie z więzów ziemskich, ciągłym „potykaniem dobrym“ i zwycięskim, ani

na chwilę nie słabnącym „bojowaniem“ z poduszczeniami ciała, świata i szatana.

— Już bowiem jako trzechletnia dziewczeczka słubowała Bogu czystość anielską — i ustrzegła jej wiernie — z jakimż nakładem sił i czuwania — nawet w stanie małżeńskim.

— Była piękną i bogatą królewną — świat ze wszystkimi uciechami stał przed nią otworem. Jednak ani na chwilę nie rzuciła się w jego szeroko i jakże kusząco otwarte ramiona. — Także szatan nie byłby szatanem, gdyby tę świętą fundatorkę tak pożytecznych trzech zakonów franciszkańskich na ziemiach polskich — pozostawił w spokoju. Oparła się mężnie i jego piekielnej chytrości.

...I oto teraz, gdy stoi już u kresu swego umęczonego żywota, gdy spogląda na zapłakane twarze ukończonych córek, — nie drży, nie lęka się śmierci, nie płacze nawet, ale bezwładną, kostniejącą już ręką usiłuje poraz ostatni nakreślić nad głowami trwożnej gromadki krzyż, symbol ich życiowego cierpienia, ich drogowskaz do wieczności.

Błogosławiąca ręka opada twardo na zimny głaz posłania, szeroko otwarte oczy rozbłyskują dziwnym ogniem i płoną nieziemskim blaskiem, na usta wykwita słodki uśmiech...

— „Matko co widzisz?“ — pytają wylękłe siostry.

— „Widzę Panią moją Najśw. Pannę, Matkę Pana mojego stojącą przy mnie, przeto się cieszę i raduję“.

Oddech konającej staje się coraz cichszy, coraz słabszy, wreszcie jakby w obawie spłoszenia niebiańskiej zjawy, w zapamiętaniu najświętszym, w zachwycie największym ustaje zupełnie...

W tej chwili ujrzały zakonnice lśniąca gwiazdę ulatującą ku niebu z ust konającej, a stojący na wale klasztorным franciszkanin, o. Bogusław, spostrzegł dwie

marmurowe, sięgające nieba kolumny, po których unosiła się w górę zakonnica.

Bł. Salomea nie żyła — zakończyła swe ziemskie czasowe życie, a rozpoczęła wieczne niebieskie.

— — — — —
Tak mogła umierać tylko wielka Święta, po bardzo świętym życiu!

— — — — —
W ten sposób zakończyłem w pamiętniku opis (podany tutaj w amerykańskim skrócie) wycieczki, którą urządziliśmy w przepiękne skały i lasy Ojcowa.

Ukochani Czciciele b. Matki Salomei! Sądzę, że chyba i Wy, którzyście już tyle o niej słyszeli, tyle razy czytali jej żywot, a może już nie jedną łaskę za jej przyczyną od Boga otrzymali, — z radością i przekonaniem przytaknicie temu twierdzeniu, iż życie i śmierć bł. Salomei były życiem i śmiercią *wielkiej Świętej*. Zresztą najlepszym tego dowodem jest ta pamięć żywa, ta cześć nieustanna, a głęboka i serdeczna, jaką wdzięczny naród krakowskiej ziemi blisko od 7-miu wieków otacza swą wielką Rodaczkę; — i te cuda liczne i łaski niezliczone, nieustannie płynące z ojcowskiej ręki Boga na tych, którzy przez zasługi bł. Salomei proszą o nie.

A jednak, a jednak ze smutkiem przychodzi stwierdzić, że ofiarne życie i heroiczne cnoty wielkiej Polki nie znalazły u swoich należytej oceny i zrozumienia. — Wszak tyle już wieków upłynęło od błogosławionej jej śmierci, tyle lat ubiegło od jej beatyfikacji, a sprawa kanonizacji, sprawa wyniesienia jej na ołtarze świętych, wciąż jeszcze dopiero — i to dzięki Bogu — w początkach.

Doprawdy, gdy się czyta żywot tej pokornej, surowej zakonnicy, córki królewskiego rodu, pierwszej tercjarki Polki, założycielki klarysek i fundatorki fran-

ciszkanów na ziemiach polskich, to aż zdumienie ogarnia, dlaczego ta tak wielka święta królowa nie została jeszcze kanonizowana.

Dlaczego?

Przyczyną tego jest chyba, jak powiada ks. Weryński, „to nasze niedbalstwo w sprawie kultu Świętych Polskich, nasza licha „dyplomacja“ wobec Nieba i Watykanu, gdy chodzi o zdobycie nowych Świętych, nasza inercja i brak solidnej organizacji w tej dziedzinie“.

I w tym wypadku, — jeśli chodzi o kanonizację bł. Salomei, — nie doceniamy należycie, jak doniosłe znaczenie może mieć nie tylko dla jednostek, nie tylko dla franciszkańskiej rodziny, ale dla całego społeczeństwa polskiego — sprawa zaliczenia w poczet świętych kanonizowanych tej wielkiej Rodaczki naszej.

Oto kilka, przygodnie zresztą zestawionych, przesłanek, — Wnioski same się narzuca.

— Córką księcia polskiego Leszka Białego i księżniczki ruskiej Grzymisławy; królowa Rusi Halickiej, a potem południowych Słowian, zamieszkujących Dalmację, Kroację, i Sławonię. — Fakt ten przez kanonizację zostałby przypomniany całemu światu, a zwłaszcza narodom zainteresowanym. — Czyż więc pod wpływem wspólnej czci nie zabiłyby przyjaźniej dla siebie serca dwóch bratnich dawniej a dziś sztucznie rozdzielonych narodów — Polaków i Rusinów.

Dalej, narzeka się na zepsucie obyczajów. Nieczystość i wyuzdanie szerokim, rwącym nurtem płyną przez świat. Brud, usprawiedliwiany koniecznością natury ludzkiej, zaopatrzony etykietą postępowości, wciska się wszędzie, — panoszy na ulicy, rozczepierza na ekranie, zagnieżdża w rodzinie, wkrada do szkół i warsztatów. — Bezradni, załamujemy ręce: „Co robić?“. — Bł. Salomea, nieskalana dziewica, choć małżonka, przez

swą kanonizację głośną dałaby odpowiedź, jak „walkę ze złem wieść zwycięską“, pouczałaby, że „żyć życiem zwierząt, życiem pierwotnym instynktów zwierzęcych, zaledwie nieco upiękuszonych i polakierowanych ludzkością, znaczy to samo co konać w zgryzocie i ginąć w rozpacz” (Dz. Chr. — Papini), i przeciwnie, żyć życiem czystym, to osiągnąć szczęście najwyższe, bez cieni i przygaśnięć, to zdobyć rozkosz królewską i błogą, znaleźć podnoszącą i niezamąconą radość.

— Żyjemy w czasach ogólnej pogoni za pieniądzem i chlebem. Każdy, obojętne, czy nie ma nic, czy ma za dużo, stara się nagromadzić jak najwięcej tych skarbów. O niebie i duszy mało kto pamięta. — Tymczasem bł. Salomea, bogata królowa, konająca w ubogiej pustelni zakonnej, wśród modlitewnej ciszy, przypomina, że „nie samym chlebem żyje człowiek” i że „skarbić sobie raczej potrzeba skarby na żywot wieczny, których ani rdza, ani mól nie psuje”.

— Propaguje się dookoła i gwałtem wpaja przekonanie, o konieczności ofiarnej, gorącej miłości Ojczyzny. I słusznie, bo z jednej strony czerwony potwór bolszewicki wyciąga zdradziecko swe koszarne macki, by nas wciągnąć i zatopić w morzu socjal-komuny, a zdrugiej zaborczy, nienasycony pan-germanizm sięga swą żelazną łapą, najeżoną lufami armat, po nasze ziemie zachodnie.

— Gdzie przyjdzie nam szukać ratunku?

Jest rzeczą pewną, że przedewszystkiem u Boga.

Tak więc i miłość Ojczyzny domaga się dziś od nas wytężonej pracy nad rozszerzeniem i podnoszeniem kultu naszych polskich patronów, i to nie tylko dlatego, że Oni u tronu Wszechmocnego Boga wstawiają się za nami, bronią skutecznie przed nieprzyjaciółmi i wypraszają potrzebne łaski, lecz przede wszystkim dla tego, że Oni sami jednocząc i uzgadniając służbę Bogu ze

służbą Ojczyźnie, uczą nas tego swem życiem, a przez to wychowują świadomych swych obowiązków i zadań obywateli.

Bo wiadomo, że „tam gdzie nie ma przeświadczenia, że naród jest sługą Bożym... tam na dnie dusz czai się pełne zwątpienia pytanie: „Ale dlaczego właściwie mam ja państwu służyć, dlaczego się za nie poświęcać? Dla kogo, za kogo mam życie oddawać? Czy za te masy ludzi niezwiązane żadną ideą? Ale cóż mnie one obchodzić mogą, ja im a one mnie są obojętne. Za przeszłość mam umierać? Ależ ona w grobie. Umiera się przecież za żywych a nie za trumny i mogiły. Za tych może co rządzą mam się poświęcać? Ależ czyż oni są warci moich poświęceń, oni, których egoizm i samolubstwo nieraz tak dobrze mi są znane? Za przyszłość mam się poświęcać? Ależ oddając swe życie za przyszłe pokolenia i tak widzieć tej przyszłości nie będą“ (Ks. bp. Teodorowicz; Przegl. Kat. 8/I 1933).

A zatem odpowiedź gotowa: „Ibi Patria, ubi bene! — Tam Ojczyzna, gdzie dobrze!“ — Wygodny kosmopolityzm.

A tymczasem Święci nasi Patronowie polscy głośno wołają, że służba Bogu, to wypełnianie misji. jaką Bóg zlecił Narodowi Polskiemu, w czasach dzisiejsz, wobec nawały bolszewickiej z jednej strony — a nowoczesnego pogaństwa hitlerowskiego z drugiej, nie mniejszej niż dawniej!

Tak! I dziś potrzeba nam Świętych.

„Oczywiście, że nie da nam Bóg nowych Świętych wnet, jeśli dawnych naszych Patronów, nie będziemy czcić i cenić dostatecznie“...

Za progiem — powiada wyżej wspomniany Ks. Weryński — są (nowi) Święci i Święte“.

„Ale — trzeba wymodlić ich u Boga...“

„A — jakże lepiej modlić się, jeśli nie za przy-

czyną dawnych Świętych!“

Tymczasem my o nich zapominamy, tak nam obojętna ich cześć.

Ot na przykład już od szeregu wieków prowadzą siostry klaryski żywą propagandę kultu swej fundatorki, bł. Salomei, by w ten sposób osiągnąć wreszcie tę upragnioną kanonizację swej Matki. A jednak mimo te szlachetne wysiłki, mimo ofiary, sprawa wciąż stoi prawie że w miejscu. — Dlaczego? Bo tak wielkiej pracy dokonać może tylko wspólny wysiłek całego społeczeństwa.

Z prośbą o ten wysiłek ośmielam się tą drogą zwrócić do Was przede wszystkim Bracia i Siostry Tercjarze. — Wszak to i nasza Matka. Wymódlmy więc dla niej i wypracujmy tak zasłużoną aureolę świętych.

Sami czcimy ją gorąco i serdecznie, jak matkę i szermujemy jej cześć w społeczeństwie.

Oczywiście, że do tego konieczną jest znajomość jej żywota. Służyć do tego może książka napisana przez O. Karwadzkiego franciszkanina, którą nabyć można u OO. Franciszkanów w Krakowie.

Obraz bł. Salomei (a piękne, kolorowe można nabyć u SS. Klarysek w Krakowie) powinien zdobić mieszkanie każdej rodziny tercjarskiej. Nowenna zaś do tej Świętej Matki naszej powinna się stać częstą naszą modlitwą.

Lud



Nagroda dziecięcej ufności

Smutny był dzień wigilijny w domu Walentego N.. Matka rodziny, która dotąd pracą nad siły i wrodzoną szlachetnym niewiastom zapobiegliwością, zaslaniała drogie jej sercu istoty przed ostateczną nędzą — zachorowała śmiertelnie.

Ojciec był niby zdrowy — ale brak popłatnego zajęcia przygnębiał go coraz więcej i o krok tylko dzielił od rozpacz.

Ponury i milczący rozdał dzieciom resztę suchego chleba i opuścił mieszkanie, by nazbierać trochę suchych gałęzi na opał.

Ośmioletni Franuś, najstarszy z czworga dzieci, uklęknął przy łóżku chorej matki i zaczął ją pocieszać: „Niech się mamusia nie martwi — przecież dzisiejszej nocy posyła Dzieciątko Jezus aniołka z podarkami do dzieci — napiszę więc na tabliczce prośbę o lekarstwo dla mamy i o dużo dobrych rzeczy, położę tabliczkę na piecu a jutro cieszyć się będziemy z otrzymanej gwiazdki wigilijnej“.

Chora kobieta ciężko westchnęła — lży zasłoniły jej oczy i rzekła cicho: „Nie pisz Franusiu żadnej prośby — do biednych dzieci nie przychodzi Aniołek z podarkami“.

Franuś posmutniał, w małej jego główce nie mogło się pomieścić, dla czegożby Dzieciątko Jezus miało nie pamiętać o biednych dzieciach, gdy te są grzeczne... I pierwszy raz w życiu zwątpił o prawdziwości słów ukochanej matki, ale o nieskończonej dobroci Najśłodszego Dzieciątka Jezus był najmocniej przekonany.

Gdy matka zasnęła Franuś owinął się starą chuścina, pod którą ukrył tabliczkę, wysunął się cichutko z izby i pobiegł do odległego szałas, który się znajdował tuż przy zboczu wysokiej góry. Tu napisał na tabliczce taką prośbę:

„Najdroższe Dzieciątko Boże! Przyślij mi proszę przez Aniołka: „lekarstwo dla chorej mamy, dużo pieniędzy

dla taty, i dla nas wszystkich co do zjedzenia, bośmy bardzo głodni. — Franuś“.

W szałasie znajdowało się podmurowanie dla rozpalania ogniska; na nim położył Franuś tabliczkę a obok największy skarb, jaki posiadał: pudełeczko zapalek, by Aniołek mógł sobie zaświecić do czytania prośby.

Zziębnięty, ale pełen błogiej nadziei wrócił czempredzej do domu, nie zdradzając się przed nikim ze swą tajemnicą.

* * *

Późnym wieczorem, podczas gdy Franuś spał słodko śniąc o aniołkach, po stromym zboczach góry wznoszącej się nad szałasem, w którym była prośba do Bożego Dzieciątka, wspinał się powoli turysta S. zapalony sportowiec. Założył się on ze znajomym bogatym Anglikiem, że w noc wigilijną, po nieuczęszczanym stoku tej góry, wyspina się na szczyt, gdzie o północy zapali łączywo, na znak wygranego zakładu. W plecaku miał smolne drzewo a pudełko zapalek, o którym sobie przypominał w ostatniej chwili, zatknął za rękawicę.

Już przebył szczęśliwie więcej niż połowę drogi, gdy nagle potknął się i z błyskawiczną szybkością zaczął zsuwać się na dół, gubiąc w śniegu zapaliki. Z wielkim impetem wpadł na dach szałas, przedziurawił go swoim ciężarem i zatrzymał się dopiero na owym podmurowaniu, opierając rękę o pudełeczko zapalek, które Franuś położył przy tabliczce.

Szalona jazda z góry na dół odbyła się na szczęście bez szwanku dla zdrowia śmiałego sportowca. Szybko zaświecił zapalikę, by się zorientować, gdzie się znajduje, przeczytał prośbę Franusia, uśmiechnął się znacząco i czempredzej rozpoczął na nowo wspinanie się ku szczytowi góry.

Tym razem wszystko poszło pomyślnie — o północy zapalił na szczycie góry łączywo — wygrał zakład...

Ale nasz turysta nie cieszył się tym wcale. Zamyślony schodził ze szczytu góry wygodną, uczęszczaną drogą a w wyobraźni stał przed nim biedny, głodny Franuś, który z taką ufnością zwracał się do Dzieciątka Jezus, prosząc o pomoc dla rodziców. A po za Franuśiem widział w duchu całe szeregi nędzarzy, różnego rodzaju. Byli biedni, nieszczęśliwi, ale wszyscy wyciągali błagalne dłonie do Małego nowo-narodzonego Zbawcy świata... To znowu zdawało mu się, że widzi tłumy wiernych, wracających z Pasterki... A on, którego przecież wychowała matka w zasadach prawdziwej wiary katolickiej, on, który jako dorastający młodzieniec służył kolegom za wzór pobożności, dziś w poważnym wieku nawet nie myślał w tę noc świętą o P. Bogu — lekkomyślny, niemądry sport zaprzętał mu głowę. — Dogodzenie próżnej ambicji... Musi to choć w części nagrodzić miłosiernym uczynkiem.

U stóp góry czekał już na niego towarzysz, z którym się założył i kłaniając się nisko, z wyrazami uznania, wręczył mu wygraną sumę pieniędzy. Pan S. przyjął chętnie pieniądze, mówiąc poważnie: „To będzie wsparcie dla biednych“.

W pobliskim hotelu zabrał się spiesźnie do urzędywania planu, jaki w drodze ułożył. Do obszernej torby zapakował różne prowianty wraz z butelką starego wina a na samym wierzchu położył wygrane pieniądze. Zaniósł to wszystko do znanego szafasu, położył torbę obok tabliczki, na której napisał: „Dobremu Franusiowi“ „Aniołek“ — i odszedł.

Radość jakiej doznał Franuś, gdy rano zobaczył dary Dzieciątka Jezus, nie da się opisać. Dźwigając ciężką torbę wszedł uszczęśliwiony do mieszkania, lecz za nim zdołał opowiedzieć zdumionym rodzicom, skąd ma te skarby, wszedł do mieszkania właściwy poseł Bożej Dzieciny — Anioł w ludzkim ciele, turysta S., by bliżej się dowiedzieć o nędznej doli biedaków. Obiecał przysłać zaraz chorej matce lekarza i zaopiekować się nimi tak, by już ciężkiej niedoli nie cierpieli.

Zdawało się, że rzewnym i radosnym dziękczynieniem całej rodziny nie będzie końca. Ale wspaniało-

myślny dobroczyńca spieszenie się oddalił a w sercu było mu tak błogo, jak jeszcze nigdy w życiu. Zdawało mu się, że niebiosa się nad nim rozwarły i że słyszy śpiew Aniołów: „Chwała na wysokości Bogu a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”.
Es-ha.

Aby wszyscy byli jedno...

Każdy wierny syn Kościoła, a zwłaszcza naśladowca św. O. Franciszka pragnie, by jak najprędzej „na stała jedna owczarnia i jeden Pasterz”.

Lecz nie wystarczy tylko pragnąć. Trzeba jeszcze w miarę sił współpracować w boskim dziele odkupienia. Trzeba stać się misjonarzem - apostołem, o ile już nie przez słowo i czyn, to przynajmniej przez modlitwę i zaparcie się siebie.

Misjonarzem-apostołem przez modlitwę winien być katolik w każdy czas. Są jednak chwile, w których trzeba podwoić a nawet potroić modlitewne błagania, zanoszone przed tron Boży w intencji, „aby wszyscy byli jedno...” Do takich właśnie chwil należy tzw. „Oktawa modlitw”.

Zbożnym jest ona dziełem, godnym poparcia i rozszerzenia wśród najszerzych mas. Zna ją już wielu katolików rozsianych po świecie całym i nie tylko zna, ale i praktykuje. Warto więc, by i Polacy - katolicy z nią się zapoznali, by ona stała się i naszą częścią.

Anglikańskie — a więc heretyckie — czasopismo pt. „Lampa”, poświęcone misjom i jedności chrystianizmu w r. 1908 zapoczątkowało wspomnianą „Oktawę modlitw” o zjednoczenie wszystkich chrześcijan pod jedną głową Papieżem i o włączenie do Chrystusowego Kościoła tych, którzy błakają się po manowcach odszczepieństwa i herezji... Myśl ta spodobała się i katolikom. Zaczęli i oni odprawiać ową „Ośmiodniówkę modlitw”. — Lecz nie na

tym koniec. Skoro bowiem dowiedział się o niej Ojciec św. Pius X zatwierdził ją, a Papież Benedykt XV obdarzył odpustami, aby wszystkich zachęcić do jej praktykowania...

O skuteczności tej krucjaty modlitw nie można wątpić. Bóg, zda się sam, potwierdził ją i to zaraz na początku jej istnienia. W dwa lata bowiem po ogłoszeniu „Oktawy modlitw“, wydawca czasopisma „Lampa“, O. Paweł nawrócił się z anglikanizmu a z nim całe „Stowarzyszenie wynagrodzenia“, przezeń założone, przeszło na łono św. rzymskiego Kościoła. A i dziś, po latach całych, ruch nawróceniowy z różnych sekt heretyckich, a zwłaszcza anglikańskich z każdym rokiem wzrasta. Czyż więc nie należy tego przypisać właśnie tym ośmiodniowym modlitwom zanoszonym przez Kościół cały?

Oktawę tę corocznie obchodzi świat katolicki od 18 — 25 stycznia. Początek jej zatem wypada w dniu, w którym Kościół święci uroczystość Katedry św. Piotra w Rzymie, koniec natomiast w dniu, w którym obchodzi pamiątkę nawrócenia się św. Pawła. — Uroczystości te same za siebie mówią. Wiemy przecież czym byli dla Kościoła ci dwaj wielcy Apostołowie.

Na każdy dzień tej wielkiej oktawy modłów jest ustalona odpowiednia intencja. I tak:

- 18 stycznia o powrót do owczarni Piotrowej tych, którzy są poza nią,
- 19 „ o powrót do jedności ze Stolicą św. schizmatyków kościołów wschodnich,
- 20 „ o powrót do św. rzymskiego Kościoła protestantów Europy,
- 21 „ o powrót anglikanów i poddanie się autorytetowi Ojca św.,
- 22 „ o zjednoczenie amerykańskich sekt i powrót do jedności ze Stolicą św.,
- 23 „ o trwałe nawrócenie złych katolików

- i odstępców Kościoła św.,
 24 „ o nawrócenie żydów,
 25 „ o nawrócenie pogan.

Codziennie w czasie tej oktawy odmawia się następującą modlitwę:

Antyfona. Aby wszyscy byli jedno, jako Ty Ojciec we mnie, a ja w Tobie, — aby i oni w nas jedno byli, iżby uwierzył świat, żeś Ty Ojciec, mnie posłał.

Wiersz: Piotrze, ja tobie powiadam, iż Ty jest opoka.

Odpow.: A na tej opoce zbuduję Kościół mój.

Módlmy się

Panie Jezu Chryste, któryś rzekł apostołom swoim: pokój zostawuję wam, pokój mój daję wam, — nie patrz na grzechy moje, ale na wiarę Kościoła twojego i racz go według woli twojej obdarzyć pokojem i zjednoczyć. Który żyjesz i królujesz Bóg po wszystkie wieki wieków. Amen. (200 dni odpustu w każdy dzień oktawy nadał Benedykt XV 25 lutego 1916).

Jezu, dobry Pasterzu, sprowadź przez moc przyciągającą Najśw. Sakramentu wszystkich ludzi do owczarni Piotrowej. — (300 dni odpustu).

Lecz nie ograniczajmy się do tej modlitwy. Odmawiajmy ponadto w każdy dzień choć cząstkę różańca. O ile możemy, wysłuchajmy Mszę św., przyjmijmy Komunię św., ofiarujmy całodzienne prace i umartwienia nasze. Pamiętajmy bowiem, że idzie o wielką rzecz — o zbawienie nieśmiertelnych dusz i rozszerzenie Chrystusowego królestwa na ziemi.

A w sprawach tak wzniosłych i ciebie, Tercjarska rzeszo, braknąć nie może, boś ty wybranym gronem w Kościele Bożym, boś ty rycerstwem Biedaczyny z Asyżu, do którego Jezus Ukrzyżowany powiedział: „Franciszku, odbuduj Kościół mój!“

A. S. K.

W łączności siła

Kochani Bracia i Siostry, czy zastanawiacie się dobrze nad tym, jaka potęga jest w zjednoczeniu? Patrzcie: mała jest moc kropli wody, lecz gdy się ich złączy tysiące i miliony, tworzą rzeki i niosą na sobie okręty, a czasem te krople wody zalewają ogromne obszary i niszczą na nich wszystko co znajdują, nie się ich mocy oprzeć nie może.

I znowu weźcie cienką nitkę lub cienki drucik: jaki ciężar potrafią utrzymać? Bardzo mały. Lecz gdy tych nitek lub drucików dużo złączymy, powstaną silne liny, podtrzymujące wielkie ciężary.

Podobnie się rzecz ma i z ludźmi. Jeden człowiek odosobniony nie wiele dokáže, lecz gdy się wielu ludzi złączy do wspólnego dzieła, to cudów dokąż.

Zatem kochani Bracia i Siostry, jeżeli chcecie coś wielkiego zrobić w Trzecim Zakonie, to nie chodźcie luzem ale się wspólnoty trzymajcie.

Z rozmaitych sprawozdań w pismach tercjarskich dowiadujemy się, że w niektórych kongregacjach życie potężnie pulsuje tak na polu życia wewnętrznego, jak i charytatywnego i społecznego; dowiadujemy się, że niektóre kongregacje mają swoje domy tercjarskie, kasy pogrzebowe i t. d., a w innych nie ma, a nawet nie stać zaprenumerować sobie jakieś pisemko tercjarskie. I skąd ta różnica? Oto przede wszystkim stąd, że członkowie pierwszych kongregacyj na podstawie całkowitej reguły łączą się do wspólnej pracy, a w drugich kongregacjach prowadzi się życie odosobnione, często-kroć członkowie nawet w miesięcznym zebraniu udziału nie biorą; jedynym znakiem zewnętrznym ich przynależności do Trzeciego Zakonu jest patent, który przy wpisaniu otrzymali. — Niechże zatem wszystkie kongregacje budzą się do wielkich rzeczy, bo nie wystarczy chlubić się, że się należy do stowarzyszenia tak starożytnego, sławnego jak Trzeci Zakon św. O. Franciszka, lecz trzeba wykazać się dorobkiem osobistym na tych polach, na których reguła i papież pracować nam każą. Pamiętajmy: w łączności siła.



ADRES ZWROTNY:

ADMINISTRACJA „POCHODNI SERAFICKIEJ”
OO. Franciszkanie Kraków, pl. WW. Świętych 5.
Nr. czeku P. K. O. 407.634.

Kalendarzyk na styczeń

z uwzględnieniem odpustów zupełnych 3-ich Zak. franciszkańskich
(Z. F.) i absolucji generalnej dla członków III Zak. (A. G.)

1. p. Nowy Rok, *Obrzezanie Pana Jezusa* (A. G.)
2. s. Oktawa św. Szczepana m.
3. N. po N. R. *Najśw. Imienia Jezus* (Z. F. A. G.)
4. p. *Wigilia Trzech Króli*, oktawa śś. Niewinłatek bł. Anieli z Foligno wd. III Z. (A. G.)
5. w. bł. Rogera w. I. Zak., św. Telesfora p. m.
6. ś. Uroczystość Trzech Króli (Z. F. A. G.)
7. c. bł. Mateusza b. w. I. Z.
8. p. św. Seweryna op.
9. s. śś. Juliany i Bazyliszy mm.
10. N. i Po Trzech Królach, *Najśw. Rodziny*, św. Pawła pust.
11. p. św. Hygeniusza p. m.
12. w. św. Arkadiusza m.
13. ś. św. Leoncjusza b. w.
14. c. św. Hilarego b. d. K., bł. Odoryka w. I. Z. (A. G.)
15. p. św. Maura ap.
16. s. śś. Bernarda i Tow., pierwszych męcz. Z. Franc. (A. G.)
17. N 2 po Trzech Kr. św. Antoniego pust.
18. p. Katedry św. Piotra w Rzymie, św. Pryski p. m.
19. w. śś. Mariusza i Tow. mm., św. Kanuta kr. m.
20. ś. śś. Fabiana i Sebastiana mm.
21. c. św. Agnieszki p. m.
22. p. św. Wincentego i Anastazego mm.
23. s. Zaślubiny NMP., św. Raimunda z Pennafort
24. N 3 po Trzech Kr. św. Tymoteusza b. m.
25. p. Nawrócenie się Pawła Ap.
26. w. św. Polikarpa b. m., św. Pauliny p.
27. ś. św. Jana Złotoustego b. d. K.
28. c. św. Flawiana m.
29. p. św. Franciszka b. d. K.
30. s. św. Hiacynty p. III. Z., św. Martyny p. m. (A. G.)
31. N. 4. po Trzech Kr. św. Piotra z Noli w. (A. G.)

Za pozwoleniem Władzy Zak. i Diecez. Redaktor O. Czesław Kellar, franciszkanin

Drukarnia „Powściągliwość i Praca” w Krakowie.